

„Przekroczyć granice”

Widok ciemnego rozgwieżdżonego nieba zawsze budził we mnie zachwyt i przerażenie jednocześnie. Spoglądałam tak w zaduszkowy wieczór, gdy odwiedzałam z mamą grób jej stryja w Sanoku. Może jako dziecko mijałam gdzieś młodego Zdzisława Beksińskiego? Z pewnością przechodziłam czasem ulicą Jagiellońską (Świerczewskiego – sic!).

Rosłam w cieniu wspomnień wojennych, gdy kiedyś doszłam do wniosku, że każde pokolenie ma swoje przeżycia, które odciskają się takim piętnem traumy, iż nie sposób interpretować sztuki tegoż pokolenia bez pamięci o cierpieniu. Prof. Kazimierz Wyka wyraził to o niebo lepiej ode mnie (oho! Podświadomość dała znać o sobie – niebo...).

Zdzisław Beksiński przeżył wojnę jako dziecko; choć substancja materialna Sanoka nie uległa zniszczeniu, to jego wrażliwość na pewno zareagowała na wszystko to, co działo się w sferze słowa – w przeżyciach i wspomnieniach ludzi. Sam artysta stał się jako młodzieniec ofiarą wypadku wybuchu pocisku z czasów niedawno zakończonej wojny.

Po raz pierwszy usłyszałam o Beksińskim, gdy kończyłam studia. Trudno było wtedy poznać jego twórczość, która dotyczyła rysunku i fotografii. Malarstwo fantastyczne, którym się zachwyciłam, poznałam dopiero po 1989 r. Mieszkam tak blisko wystawy stałej Beksińskiego, w Nowej Hucie, a i do Sanoka nie jest daleko. Zamykam oczy i przywołuję cały świat Apokalipsy, mam go w pamięci, bo od jesieni 2016 r. obrazy Beksińskiego są w galerii Nowohuckiego Centrum Kultury. Mogę błędzić po galerii całymi godzinami i za każdym razem dzieła przeze mnie oglądane otrzymują inne tytuły.

Perspektywa kaskady z kłębowiskiem ciał, w tonacji złocistego światła, jawi mi się jako Sąd Ostateczny, a kiedy indziej jako Ekshumacja, kiedy wspominam prace ekshumacyjne do przygotowania Polskich Cmentarzy Wojennych w Katyniu, Charkowie, Miednoje, a później – w Bykowni. Ten obraz nigdy nie miał dla mnie pesymistycznej wymowy, chociaż motyw śmierci jest w twórczości Beksińskiego wszechobecny. Czyżby artysta zachował w sobie mentalność średniowiecza i baroku? To epoki wyrażania strachu przed śmiercią, ale także – zafascynowania. Gdy się poznaje twórczość Beksińskiego, potęga śmierci budzi przerażenie, lecz nie otrzymuje się odpowiedzi, co stoi za przekroczeniem poza jej granice.

Obrazy Beksińskiego, te w nowohuckiej galerii, to moment błysku: ONA, ŚMIERĆ, już jest, tu i teraz, nie ma nic innego. Jak w wybuchu atomowym, natychmiast zmienia całą

rzeczywistość, burzy całą logikę – a może oczy ludzkie widziały dotąd złudzenia, może prawda tkwi w zniszczeniu? Nie wiem, na ile Beksiniński był zainteresowany filozofią Wschodu. Ale od znajomych Japończyków wiem jedno: nikt tak nie ukazał zagłady Hiroszimy i Nagasaki, pomimo że Beksiniński owych zamiarów nie miał. Japończycy metaforę pojmują inaczej, na dzieła Beksinińskiego patrzą dosłownie. Nie ma już muzeum z jego obrazami w Osace, większa część tego zbioru trafiła do Kioto. Z trudem wymawiane przez Japończyków jego nazwisko jest podawane jako pierwsze w odpowiedzi na pytanie o współczesną polską twórczość plastyczną.

Na zawsze urzekło mnie przekraczanie formy czy istoty? w owych apokaliptycznych obrazach: parasol czy grzyb atomowy, człowiekoparasol; po odmętach oceanu płynie okręt, czy okrętotrumna; liście to chyba żagloliście albo cienka, dobrze wyprawiona skóra. Nic nie jest sobą, tak jakby było w momencie powstawania i dopiero dobierało swoją formę. I tu dochodzę do paradoksu: przed chwilą miałam skojarzenia ze śmiercią, a tymczasem odkryłam chaos powstawania życia.

Obrazy Beksinińskiego są jak metafory pulsującego Wszechświata, który według filozofii hinduskiej ma czas rozwoju i czas zniszczenia, ale trwa wiecznie. Kiedy nadchodzi śmierć, poza nią może być nowa forma, nowe życie, a może nie ma nic, musi nastąpić kolejny Pierwszy Wybuch. Znowu brak logiki i paradoks. Jeśli już całkiem nie mogę sobie poradzić i motywy jeźdźców Apokalipsy nieznośnie mnie dręczą, wychodzę z domu i patrzę na ciemne niebo.